

1) Że od czasu objęcia Kuratorji literackiej przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego, to jest 1go lipca 1851 r. żadnego znaku życia na zewnątrz nie okazał.

2) Że zakupuje same dzieła religijne, a na inne literackie i historyczne pisma funduszu mu nie staje.

3) Że nie wydaje pisma peryodycznego.

4) Że słownik Lindego nie uzupełniać ale skracać zamysła.

Przejdziemy po kolei każdy z tych zarzutów, aby czytelnika postawić w możności osądzenia, o ile słowa korespondenta na wiarę zasługują.

Do pierwszego robi on wstęp taki: »Nie należy, powiada, do składu urzędników bibliotecznych, nie umiem więc powiedzieć, czy co do wewnętrznego gospodarstwa, do porządku i karności domowej pan M. D. istotnie to uczynił, co korespondent (pierwszy) powiada.» Na to odpowiadamy. Z czynności zakładowych zdaje się sprawa publiczna od czasu do czasu. Trzy takie sprawozdania od objęcia Kuratorji przez M. hr. D. drukowane są w Dodatkach do Gazety urzędowej Lwowskiej, mianowicie w numerze 5 Dodatku z r. 1852, w takimże numerze 5 Dodatku do Gazety Lwowskiej z r. 1853, i w numerze 52 Dodatku z tegoż roku. W nich każda czynność czy to do wewnętrznego zarządu Zakładu ściągająca się nietylko poszczególniona jest, ale nawet sposób wykazany w jaki dopełniona została. Nie potrzebuje więc korespondent być urzędnikiem Zakładu, aby się o czynnościach jego dowiedzieć, lecz tylko zajrzeć do Gazety. A jeśli korespondent tego nie zrobił i zganił czynności zakładowe, nie postarawszy się o zasięgnięcie dokładnej o nich wiadomości, daje więc powód do mniemania, że mu nie chodzi o prawdę, ale że osobistość jakaś piórem jego kieruje. Owoż odpowiadając na pierwszy zarzut, jakoby Zakład pod dzisiejszym swoim zarządem »nie dał żadnego znaku życia na zewnątrz» przytaczamy z pominiętego sprawozdania fakta następujące.

Przy objęciu Kuratorji przez M. hr. D. stan funduszu zakładowych był tak opłakany, iż Zakład walczył między życiem a śmiercią: długi bowiem przewyższały dochody, które nadto nie wpływały regularnie do kassy, ale były pod rozmaitemi pozorami zatrzymywane. Taki stan rzeczy zastawszy M. hr. D. doprowadził do tego, że już w pierwszym półroczu jego zarządu długi Zakładu znacznie się zmniejszać poczęły, jakóż do dnia dzisiejszego zapłacono ich 11,312 złr. mon. konw. czyli przeszło 6750 Rsr. Wydano nadto kosztem Zakładu czwarty tom Ossolińskiego »Wiadomości historyczno-krytycznych w r. 1852,» o 34 arkuszach druku; postarano się o przekład całego Tucididesa na język polski, który to przekład przez jednego z biegłych helenistów polskich, za stosownym wynagrodzeniem, z oryginału w znacznej części już dokonany, znajduje się w bibliotece; zaliczono też w tym oto 1853 r. tysiąc złr. na rozpoczęcie druku słownika Lindego. Zbiory naukowe i artystyczne, które dawniejsi zawiadownicy Zakładu tylko hurtownie sobie z rąk oddawali, mianowicie: rękopisma, autografy osób znakomitych, dyplomata, obrazy, przedmioty mineralogiczne i starożytności, otrzymały w tym przeciągu czasu po raz pierwszy inwen-

tarze dokładne, czém i od straty zostały zabezpieczone, i publiczności ułatwiono ich przegląd; przeskontrowano następnie z największą dokładnością całą bibliotekę, a czytelnia publiczna dopiero w r. 1850 otworzona, odwiedzana jest tak licznie, że każdego dnia, prócz świąt i niedziel, ma w przecięciu około 50 czytelników. Oto jest objaw życia Zakładu na zewnątrz; podaliśmy go tu tylko w rysach główniejszych, a po szczegóły drobniejsze do pomienionych sprawozdań odsyłamy.

Co do drugiego zarzutu. W miarę wzrastających funduszu kupujemy brakujące w bibliotece dzieła, tak dawniejsze jako i nowsze. Zasada jaką się w wyborze tych dzieł kierujemy jest: aby kupować dzieła dobre, bez względu na to, czy autor ich z jednego lub też drugiego stanowiska na świat się zapatruje. W liczbie tedy ksiąg nabytych w przeciągu dwóch lat ostatnich, a która to liczba, jak ze sprawozdania (Dod. do Gaz. Lw. z t. r. str. 206) przekonać się można, 592 dzieł w 981 tomach wynosi, znajduje się kilkadziesiąt dzieł treści lub dążności religijnej, jak np. dzieła Montalemberta; Cretineau-Joly: Histoire religieuse, politique et litteraire de la Compagnie de Jesus. Roux-Ferranda: Histoire des progres de la civilisation en Europe depuis l'ère Chrétienne. Beaufort'a: Histoire des Papes i t. p. Czyśmy te i tym podobne dzieła z biblioteki Zakładu wykluczyć byli powinni? niech czytelnicy osądzą. Jeśli zaś w przeciągu dwóch lat nie zdołaliśmy jeszcze nabyć wszystkiego, coby dla biblioteki tej potrzebne być mogło, tedy spodziewamy się znaleźć wyrozumiałość na to u każdego rozsądnego człowieka, który wie, że w tak krótkim czasie wszystkiego zrobić nie można.

Przejdźmy do trzeciego zarzutu. W § 37 ustawy głównej Zakładu Ossolińskich powiedziano: Dyrektor biblioteki wydawca powinien dziennik pod tytułem: »Wiadomości o dziełach uczonych.« Dyrektorowie dawniejsi wydawali je pod rozmaitemi nadpisami i w rozmaitych obrębach a czasem zgoła nie wydawali. Stosowali się oni nie tyle do ustawy, ile do okoliczności. I tak wiadomo, że od połowy roku 1834 aż do roku 1851, przez lat siedm blisko, nie wydawał Zakład pisma żadnego; równie też nie wydawał w latach 1845 i 1846, nakoniec nie wydawał od miesiąca kwietnia 1848 do tegoż miesiąca 1850. W tych zaś latach, w których pismo wychodziło, wydawano na nie znaczne kwoty pieniężne, które niekiedy dwa tysiące złotych reńskich mon. konw. rocznie przynosiły. Jaka zaś wartość pisma tego była wewnętrzna, o tém zapewne wiedzą w Warszawie. Dziś Zakład wprowadzie pisma nie wydaje, ale ztąd nie wypływa, że go nigdy wydawać nie będzie; owszem, pomyśli o tém stanowczo, skoro się ku temu złożą okoliczności. Dla czego zaś nie wydaje teraz, nie trudno jest odgadnąć. Kiedy bowiem Kuratorja dzisiejsza rząd Zakładu obejmowała, stan funduszu jego był taki, że tylko zaprowadzeniem jak największej oszczędności w wydatkach można go było podźwignąć. Ta to oszczędność, koniecznością nakazana, niedozwoliła nawet Kuratorji stałych urzędników zamianować, lecz po większej części, mimo nawału pracy, pomagać sobie tymczasowymi zastępcami, a to tak

długo, pokąd wszystkie długi zakładowe nie zostaną spłacone. Nie ma więc Zakład dyrektora aktualnego, zastępuje go tylko August Bielowski, kontentując się płacą kustosa. Również zastępczo pełni swój urząd Karol Szajnocha, przestając dotąd na płacy skryptora. Co atoli Zakład w tym wyjątkowym stanie swoim, przy tak znaczném uszczupleniu sił materialnych, dokazał, wykazano to w sprawozdaniach i tego tu powtarzać nie będziemy; ciekawi mogą porównywać czynności dzisiejsze z czynnościami Zakładu w owych czasach, gdy był w stanie swoim normalnym i w komplecie aktualnych swych urzędników i wyciągać ztąd wnioski. Że zaś obecnie Zakład na cele czysto naukowe, (jakiemi jest też wydawanie pisma peryodycznego) większych funduszu żożyć nie może, jest to naturalnem następstwem stanu owego, w jakim go dzisiejsza Kuratorja objęła.

Korespondent powiada dalej, że wydawanie pisma peryodycznego jest obowiązkiem ważniejszym, niż wszelkie inne wydawnictwo. W tej mierze można być zdania innego, niż korespondent, a to z powodów następujących: Oto przez wiele lat wydawał Zakład pismo, wkładając w nie główne swoje starania, a doświadczenie pokazało, że pismo, to przez publiczny Zakład wydawane, nietylko nie wyrównało dobrym przedsiębiorstwom prywatnym tego rodzaju, jakie się od owego czasu aż dotąd po różnych stronach kraju pojawiają, ale było od nich nie w jednym względzie pośledniejsze. Tymczasem w nierównie większym przeciągu lat, bo od r. 1814 aż dotąd, nie znalazł się żaden prywatny przedsiębiorca, któryby się odważył na wydanie słownika Lindego. Terazniejsza więc Kuratorja oglądając się na to, iżby w stanie obecnym Zakładu, z możołem wydobytych funduszu użyć jak najkorzystniej dla dobra powszechnego, zamierzyła przedewszystkiem przysłużyć się narodowi tém, czém żaden przedsiębiorca prywatny przysłużyć mu się nie jest w stanie, i maie ma, że w tej mierze przyzna jej słusność każdy z dobrze myślących.

Jak dalece podoba się wszystkim to przedsiębiorstwo, czuje to i korespondent, dla tego stara się rzucić cień na nie, rozpuszczając najmyślniejsze wieści. Powiada więc, że przedsiębiorstwo to jest już od dwóch lat tylko projektem; że o uzupełnieniu słownika Lindego nikt tu nie myśli, że przeciwnie skracać go zamierzają. Wiadomo ci zapewne najlepiej, Szanowny Redaktorze, że dopiero dnia 15 kwietnia t. r. rodzina ś. p. Lindego dała swe przyzwolenie Zakładowi do wydania słownika. Od daty więc jej listu, do daty listu lwowskiego korespondenta, upłynęło trzy miesiące i dni piętnaście. On jednakże naliczył już dwa lata. Wszakże gdyby między stanowczém powzięciem zamiaru a rozpoczęciem druku dzieła tak obszernego, istotnie dłuższy przeciąg czasu upłynął, dowodziłoby to tylko, że Zakład nie lekomyślnie do przedsiębiorstwa tego przystępował, lecz się sposobił piérwój we wszystko, co w ciągu druku okazać się może potrzebném. Mylnie też jest i to, co korespondent mówi o skracaniu słownika. Już bowiem w liście do rodziny ś. p. Lindego nadmienione było o sposobie, w jaki wykonać myślimy to przedsiębiorstwo, a obszerniej wyłożył to na posiedze-

niu publiczném dnia 12 października t. r., odbytém w Zakładzie, Bielowski. Nie myślimy więc wprowadzić improwizować jakiegoś słownika nowego, w który Linde wchodziłby tylko jako materyał, ale też bynajmniej skracać go nie będziemy; owszem, wychodząc z tego przekonania, że praca Lindego oparta jest na zasadach pewnych i z konsekwencyą przeprowadzona, pozwolimy sobie sprostować w niej te tylko błędy, które jako takie zostały udowodnione, a słowa w niej brakujące, ze źródeł różnorodnych według naszej możności zebrawszy, podamy w osobnym dodatkowym tomie tak, jak to już zamierzał sam Ossoliński.

We Lwowie 27 października 1853 r.
Karel Szajnocha,
Kustosz Biblioteki Zakładu Imienia Ossolińskich.

LUBLIN STAROŻYTNY.
KOŚCIÓŁ BERNARDYNÓW.
(Patrz Nr. 296.)
(Dokończenie.)

W owych już czasach wielowładni Żupani i dumni panowie władzę książęcą ograniczać i przywłaszczać poczęli, ci więc książęta Sławińscy, podparcy swęj władzy w gminach i miastach szukali. Kiedy mieszczanie Krakowa w roku 1285, pomimo namowy Kasztelana z Wojewodą i Biskupem, pozostali wierni swemu królowi, książę Leszek Czarny, zawdzięczając dochowanie wiary i posłuszeństwa znakomitemi przywilejami mieszczan a obwarowaniem Kraków opatruje; nauczony już doświadczeniem, dla wzmocnienia swęj władzy i wyzwolenia się z pod możno-władnych panów przewagi, prawo Sławińsko-Germańskie, Srodkiem lub Saskiem zwane, wówczas jeszcze feudalnymi teutońskimi zasadami nieprzesiąknięte, przez Henryka Brodatego, księcia Śląskiego, opiekę nad Bolesławem Wstydlwym trzymającego, do niektórych miast krajowych wprowadzone, znacznej liczbie miast i osad nadaje i rozszerza. Podobnie i Właaystawa Łokietek, dla ukrocenia przewagi i dumy magnatów, którzy go początkowo za pana uznać nie chcieli, różne nadania czyni; późniejsi królowie a szczególniej Kazimierz Wielki i Władysław Jagiełło, dla tychże samych powodów nadania te upowszechniali. Jakoż utrwalaając swoją władzę Władysław Łokietek, między innymi miastami, w dniu 15 stycznia 1317 z wyobrażeń Sławińskich utworzonem prawem miasto Lublin opatruje i stu łanami uposaża. Lecz dopiero r. 1342 jest epoką najwyższego znaczenia tego miasta kiedy Kazimierz Wielki wójta z udzielną władzą, prawdziwie patryachalną, z prawem miecza nadaje, i dwoma wioskami w obrębie owych stu łanów położonemi, Bronowice i Kopalnica, na własność wójta i jego successorów obdarza. Pod tak udzielnym, patryachalnym rządzą miastem, samemu tylko królowi podległym, z wyłączeniem go z pod jurysdykcji Wojewodów, Kasztelanów, Starostów, Sędziów, Podsędków i innych urzędników, którzy nie zawsze na korzyść króla i jego poddanych rządzą, przyszło miasto do wzrostu i najwyższej potęgi. Wówczas nie tylko on drewniany kasztel wodą oblany na murowany i warowny zamek się zamienia, ale i samo miasto staje się obronnym grodem, do koła wałami, fosami, basztami, bra-

mami z wieżą Krakowską opasanem; wodociągi założono, i wykopany kanałem wodę z stawu Zemborzyckiego, z wielkim nakładem podziemnymi rurami prowadzono. W tym samym roku, w bliskości kościoła S. Michała, na brzegu stawu wschodniego, na powabnym wzgórzu, kamień węgielny na wspaniały kościół OO. Dominikanów położono, mury zaś jego w obręb wałów otaczających miasto włączono. Nie byli też pobożni i bogobojni mieszkańcy obojętni na nędzę podupadłych ubogich, częstemi napadami nieprzyjaciół, szczególniej też Tatarów, morowem powietrzem i głodem trapiących; ów patryachalny wójt z rajcami i ławicą, cehmistrzami, magistrami i całym pospółstwem, jakoby ojciec rodziny z dziećmi, uczuciami miłosierdzia ku bliźnim podupadłym braciom przejęci, w tymże samym roku, niedaleko bramy Krakowskiej, zewnątrz murów, obszerny i również obronny szpital z kaplicą S. Ducha, to jest gospodę na znaczną liczbę ubogich wy-murowali i funduszami opatrzyli; a przemysłowi obywatele, szczególniej zamożni w owych czasach rzeźnicy, hojne jałmużny w żywności i mięsie czynili, tygodniowo dostarczali i w donacjach przy sprzedaży jatek obowiązek ten, dostarczania mięsa dla ubogich i przełożonego nad szpitalem kapłana, warowali. Z pomiędzy innych, Nastka Siekierzanka ze swoją matką, sprzedając die S. Franciszi 1360 roku jatkę Mikołajowi Klosman, za dziewięć grzywien, podług dawnego prawa szpitalowi służącemu, pewną ilość mięsa dla ubogich i przełożonego kapłana dostarczać nabywcę zobowiązała. A tak podupadli mieszkańcy miasta i przedmieszczanie w niedoli i nędzy przykry los osłodzony mieli, przykładem również ubogiego, pobożnego swego kapłana, też samą żywność z wspólnego koła pobierającego, do wytrwania w przeciwnościach i znoszenia cierpliwie chorób wiekowi sędziwemu właściwych byli zachęcenii, bo ten obowiązek tej samej osnowy w wykonaniu szpitalowi nadanej wyraźnie na przełożonego jest włożony. Pragnęli ciż pobożni mieszkańcy, aby skromny i pokorny kapłan, któremu za wzór do naśladowania podany S. Iwon, probuszc w dyccezyi Trekoryeńskiej, w katolickiej wówczas Anglii matką Świętych zwanęj, przed trzydziesto nie pełną laty, dopiero z powszechnym załem całej dyccezyi zmarły, z uczynków miłosiernych i przyjmowania codzienne ubogich do wspólnego stołu w całej Europie słynny, podobnie miłosierdzie sprawował, a daleki od światowych roztargnień, poświęceniem siebie samego całkiem modlitwom i zbieraniu jałmużny dla ubogich, onychże w potrzeby doczesne opatrywał, a nad ich duszami i zbawieniem duchowne miał staranie.

Szpital ten z kościołkiem po spaleniu i zniszczeniu do pierwotnego stanu w roku 1419 przyprowadzony, do obecnych dotrwał czasów; zaniebdaniem późniejszego magistratu, jako kollarator i prowizora i przełożonych kapłanów opustoszozony, w części w r. 1834 rozebrany być musiał; szczątki tylko tego obszernego i dezolującego się szpitala, od ulicy Kowalskiej obecnie Świętoduską zwanęj położonego, wy-murowaniem bramy i wzniesieniem nad nią kamienicy Bramką zwanęj, z funduszków szpitalnych przez X. Burnett, przełożonego szpitala, od

strony Krakowskiego Przedmieścia dla odwrócenia bolesnego widoku, przed stu laty zasłoniętego—świadczą o strukturze z czasów Kazimierzowych, i przypominają facyatę sukienic Krakowa, i od wielu lat opuszczone mury, a szczególniej facyata zupełnie odkryta, przeszło pięć wieków wszelkie zmiany powietrza i klimatu przetrwały i są ostatnim wzorem gmachów starożytnego Lublina.

Podział Województwa Sandomierskiego, do którego ziemia Lubelska i Łukowska należała, na dwie połowy, w roku 1471 podług jednych a w roku 1473 podług innych, i nadanie tej ziemi miano Województwa, którego pierwszym Wojewodą był Dobiesław Kmita z Wisznica, w roku 1478 na Województwo Sandomierskie posunięty, nie dodało miastu naszemu, stolicą Wojewody zaszczyconemu, ani blasku ani znaczenia; tyle jednak ono zyskało, że przed niedawnemi czasy w poczet miast drugiego rzędu liczone, przy tak sprzyjającym kierunku, a mianowicie przywilejach w roku 1317 i 1342 nadanych, zarówno z miastami pierwszego rzędu: Gnieznom, Poznaniem, Kaliszem, Wrocławiem, Głogowem, Chełmnem, Sandomierzem, Wislicą i innymi, prawem Sławińsko-Saskiem opatrzonemi, w ludność, zakłady i bogactwo wzrastało. Lubo w wieku piętnastym już pięć liczono kościołów, oprócz kaplicy dla dworu Starosty na zamku—oddawna bowiem istniały jeszcze dwie prebendy, Sw. Mikołaja na Czwartku, naj-pierwszy parafialny kościół sięgający czasów wprowadzenia Chrześcijaństwa, wówczas na parafialny wyniesiony, kiedy tam pierwsza osada Lublin chrzest święty przyjęła; i prebanda N. Panny Maryi, kościół pierwotnie dla osadników pod nad Stawem od przedmieścia Wrotkowa, obecnie Rurami zwanego, aż do Żmigrodu ciągnącym się osiadłych założony—nie po przestali na tém pobożni mieszkańcy; z pomnożeniem się ludności, po większej części plemion Sławińskich, i wzrostu miasta, przepełniając Świątynie Pańskie w żarliwości o chwałę Twórcy świata, do wzniesienia nowej świątyni natchnionemi zostali. Na wzgórzystym brzegu owego stawu, pomiędzy Żmigrodem a kościołem Panny Maryi, zakonnicom Stęj Brygidy, z swęj zamożności i hojnego szafunku jałmużny pomiędzy ubogich, w czasach świetnych swego istnienia znanych, w roku 1426 nadanym, węgelną podwalinę na kościół i klasztor młodszych Braci Sw. Franciszka, regularnej obserwancyi, zwykle Bernardynami zwanych, w roku 1459 założyli.

BRACIA ŚLUBNI.
POWIEŚĆ W 3ch TOMACH
Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.
Tom I.

(Ciąg dalszy) (*)
Po tych słowach duch wstąpił we wszystkich; jakoż za Podkomorzanką naprzód idącą prze-
Patrz Nr. 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 294, 292, 294, 295, 296, 297.

szli wszyscy do wielkiej sali, w której swoim zwyczajem poważnie przechodziła się pani Podkomorzyna. Tutaj nowy kłopot się znowu okazał, bo pani domu nie wiedziała, kto są ci goście, goście zaś zapomnieli o tem, że pani tego nie wie—ale już chyba zamilczeli o tem, bo byśmy całe nie wyszli z tego labiryntu kłopotów, lecz przytomnością pani Podkomorzynę ułatwiło się wszystko, i w krótkiej chwili siedziała już pani domu na kanapie, panna Barbara obok niej na krześle a na dwóch krzesłach naprzeciw panowie kawalerowie, i toczyła się już pomiędzy nimi bardzo piękna i stateczna rozmowa.

Pani Podkomorzyna była rodem Sanoczaną. Całą młodość swoją przeżyła ona w tej ziemi i pamiętała dobrze ojców dzisiejszych swych gości, więc nie brakło jej na wątku do ciekawej rozmowy. Przypomniła więc ona najpierw ich młodość, ich cnoty, z których słyszeli w powiecie, ich życzliwość z Balami; przypomniła dalej ich matki, mile natrącała o ich dla niej przyjaźni, a wpytując się o niektóre szczegóły późniejszego ich życia, nader przyjemną i zajmującą uczyniła gościom swoim tę chwilę. Ale dla Barbarki i ta chwila nie zdawała się bardzo przyjemną. Siedząc ona bowiem koło matki i nie mogąc się wnieść do takiego dyskursu, o którego przedmiocie nigdy była nie umiała powiedzieć, milczała twarz przeciągając i warg przygryzając po trochu, a lubo Bobowski dosyć często okiem rzucał na nią i to jej nie uchodziło bacności, toż jednak nie naprawiało to jej humoru bynajmniej, a nienakontentowanie jak najwyraźniej wybijało się na jej twarzy.

Bobowski, który tak siedział za stołem że miał tuż koło siebie w rogu kanapy siedzącą Barbarkę, lubo nie mało wdzięcznym był pani Podkomorzynę, że z takim szacunkiem wspominając o jego matce, tyle mu miłych szczegółów z jej życia opowiedziała, jednak byłby o wiele więcej jeszcze czuł dla niej wdzięczności, gdyby już była porzuciła tę jednostajną materję i albo sama zaczęła albo jemu zostawiła sposobność zaczęcia rzeczy o czemś takim, do czego mieszając się także, dałaby mu się bliżej cokolwiek poznać Barbarka. I wyraz powolnie wzrastającego nieukontentowania i na jego twarzy wybił się także; ale jako człowiek nie uparty i nie do czynów stworzony, nie ożywił się i nie rozogniał pod tem uczuciem, ale coraz smutniał i upadał na duszy Bobowski. Więc znowu na Barbarkę wypadła kolej ratowania się z tego kłopotu, jakoż uczyniła ona to niebawem, bo zaraz pierwsze odetchnienie matki porywając dla siebie, zapytała się wręcz Bobowskiego:

— Pan Urbański tu wielkie wydawać zwykł polowania?

— O zawsze—odpowiedział przytomnie Bobowski—i przynajmniej po kilka do roku, ale nie zawsze tak nieszczęśliwe, jak było to, z którego powracają, mieliśmy zaszczyt zdybać Waszmość pannę na drodze?

— Dla czego to Waszmość pan nazywasz to polowanie nieszczęśliwem?—zapytała znowu Podkomorzanka—czy dla tego, że wam nie poszło po myśli, czy żeście mnie po tem zdybali na drodze?

— Żeśmy Waszmość pannę zdybali na dro-

dze—odpowiedział pan Józef z zapalem—mieliśmy sobie wtenczas i mamy dzisiaj wcale za szczęście nie ospolite, a polowanie temu przypada w rzeczy stąd nazwisko nieszczęśliwego, że na niem nic nie zabito.—Na to panna Barbara:

— Dziękuję Waszmości za dopiero co dla mnie wypowiedziany komplement, a lubo może i ja się nie bardzo frasuję owem ich zdybaniem, jednak wyznać mi tu wypadła otwarcie, że się niebardzo dobrze natenczas popisała.

— I owszem, — zawołał na to uradowany i każde słowo panny jak najlepiej dla siebie tłómaczący Bobowski, — i owszem, nietylko bardzo dobrze, ale nawet tak osobliwie, że my, jakżeśmy się natenczas zdziwili nad panną Podkomorzanką przytomnością i umiejętnością strzelania, tak do dziś dnia nie możemy wyjść z podziwiania.

— Zapewne, — odpowiedziała na to Barbarka, — strzał to może był nie zły i nie często mi się takie trafiają, ale choćby mi się i zawsze takie trafiały, toż jeszcze za ten wypada mi przeprosić Waszmościów, bo nie był on niczem więcej jak niegrzecznością. — Na to Bobowski:

— Bardzo to wspaniale ze strony panny Podkomorzanki, że za swoje zwycięstwo jeszcze zwyciężonych przeproszasz, nie potrafił-byś śnać lepiej i rycerz krwi najprzedniejszej; ale niemniej przeto my tego przeproszenia akceptować nie możemy, i owszem, podziękować pragniemy za tę niechęć nam daną naukę i z niej nadał korzystać, bo już też prawda, że nietościami niezgrabnymi zaczynamy się pokazywać z flintami.

— Tego nie zaprzeczam Waszmości,—odpowiedziała na to Barbarka, — bo już ciż tak być musi, kiedy was w tem wyprzeszają kobiety, co im sami przynajęcie, mówiąc: Zuch jest, że w ką przed nią i najpiérwsi junakowie naszego czasu.

Po tych słowach Barbarka, jak gdyby już dokonała naprzód obliczonego zamiaru, wstała z kanapy, niby chcąc się przejść po pokoju, ale po tychże słowach Bobowski struchlał na miejscu i serce mu bić gwałtownie zaczęło, bo w Barbarki ostatnich słowach poznał on swoje własne, któremi dziś właśnie tydzień zakończył swoją ze siwobrodym arendarzem przed Balogrodzką karczmą rozmowę.

I podczas, kiedy Barbarka przechodząc się po pokoju po za Bobowskiego plecyma, często rzucała okiem na niego, w jego sercu i głowie poczęły się kłębić tak różne pomiędzy sobą symptomata i myśli, że nie mogąc w nich żadnego uczynić ładu, przez krótką chwilę nie nie myślał i nic nie czuł Bobowski.

Wszakże w niedługim czasie byłby on przeciwie zapanował na tym serca swojego i głowy nieładem, i byłby zapewne od razu zaczął wiele myśleć a czuć jeszcze więcej, ale w tym momencie wszedł do tej izby wraz z Księdzem Kapelanem pan Podkomorzy, i przerwał od razu nietylko milczące walczenie ze sobą Stolnikowicza, ale i pana Osuchowskiego z panią Podkomorzyną rozmowę, mówiąc już ze drzwi:

— Przepraszam Asaństwa dobrodziejstwa, że was tak długo wynudził, ale bardzo dobrze się stało że wyszedł, bo właśnie wygłodzony Piekarski, wyrwawszy się z swojej kla-

tki, wpadł do Gospody i już pięciu chłopów udusił, więc gdybym był nie przyszedł zawczasu, byłby *probabiliter* wszystko wytłukł do nogi.

— Już by też czas,—odezwiała się na to Barbarka,—żeby ojciec temu Piekarskiemu tak zrobił, jak jego przodkowi uczyniono w Warszawie, bo to niepocziwe ptaszysko.

— A nie, moje dziecko, — odpowiedział na to Podkomorzy,—prędziej los ten napotkał Rusinowską, bo to jeszcze gorsze subiektum. Piekarski ma swoje niezaprzczone zalety.

Podczas wymiany tych słów kilku, bracia słubni siedzieli jak na niemieckim kazaniu i poglądając to na siebie nawzajem, to na mówiących, i coraz większe wpadali zadziwienie, i kto wie, do jakiego jeszcze nakoniec *qui pro quo* było-by przyszło pomiędzy gośćmi a domowymi, gdyby nie przytomność Barbarki, która na Bobowskiego twarzy to podziwienie wyczytawszy, wytłumaczyła braciom słubnym w krótkich wyrazach rzecz całą. Czém ucieszony niezmiernie Podkomorzy, wpadł zaraz w najlepszy humor i to rozmową swoją, to opowiadaniem różnych krotchwilnych anegdot, rozbudził szczerą wesołość w całej kompanii.

Wkrótce potem przy świecach jarzących, w ciężkie srebrne lichtarze oprawnych, wnieziono przekąski i napoje, a że Podkomorzy nienawidził nieskromności w niczem a więc i w napoju, i ztąd wina u niego dawano mało ale za to samo stare i najwyborniejsze, które właśnie mają ten przymiot, że serdeczną a umiarkowaną obudzają fantazję; więc grono to tak się rozweseliło, że nawet Bobowski, który co moment oczyma rzucając na pannę Barbarę, powinien był być smutny i zamysłony, tak się rozigrał i rozweselił jak nigdy. Jedną tylko pani Podkomorzyna, która z przyrodzenia nie bardzo wesoła, zdawała się nawet po trochu gorszyć tem, że w dzień piątkowy taki nieprzystojny humor opanował gromadę, nie podzielała tej wesołości i z równie nie wesołym Łowczycem prawie nieprzerwaną a wcale stateczną prowadziła rozmowę.

I tak wśród tej zabawy wiele minęło czasu i byłoby zapewne jeszcze więcej minęło, gdyby nie to, że nagle uderzyła godzina a po niej zegar wielki brązowy, w jeszcze większej szafie mahoniowej zamknięty, zaczął cudnie pięknie wygrywać ową nótę, na którą pospolicie śpiewają *Kto się w opiekę*. Była to już godzina dziesiąta i znak że czas na spoczynek. Goście tedy poczęli się ruszać i żegnać i wkrótce, pomimo najusilniejszych prób i nalegań gospodarza, izby pozostali na nocleg; powiadali obadwa bracia słubni i z zaprosinami, izby jak najczęściej nawiedzali ubogą chatę sługi swego w Balogrodzie, odjechali do domu. A podczas, kiedy Podkomorzy, głaskając po pod brodę Barbarkę i spokojnej nocy jej życząc, mówił wesoło:

— Podobno nie bardzo brzydkim się wydał Waćpannie ten Stolnikowicz Sanocki;—

Bobowski jadąc stępą obok Osuchowskiego, co sto kroków się na zamek, choć go wśród nocy dojrzyć nie było podobna, oglądał i ciężko a boleśnie wzdychając, po kilka razy powtarzał:

— Dziwny dzień dzisiaj mieliśmy, panie bracie.

VI.

Po owych imieninach, przed kilkoma tygodniami u pana Błońskiego wyprawianych w Beresce, na których po blisko dwuletnim niewiedzeniu się pan Stolnikowicz znowu pokazał się Julii, smutna ona i bardzo smutna powróciła do domu. Stan taki jej serca i duszy, którymi od kolébki prawie nigdy żadne wesołe nie zawładnęło uczucie, nie był wprawdzie dla niej nowością; wszakże ten smutek, który ona z sobą przywiozła z Bereski, był tak od jej dawnych smutków odmienny, że odtąd prawie całkiem nowy świat boleści się dla niej otworzył, inne też całkiem za sobą pociągał skutki. A przyczyną tego była raz nowość wypadku, a powtóre czas sam, który despotycznie nad wszech światem panując, z takim zapasem niespodziewanych wyników odbywa swoją wędrówkę, że im ani najprzenikliwszy rozum, ani najdoniośniejsze przeczucie nie sprostą. Trzecią nakoniec przyczyną, dla której ostatnie Bobowskiego z nią się obejście całkiem dotąd nieznanymi myślami i uczuciami napełniło jej serce, była pewna zmiana, która ostatniemi czasy zaszła w niej samą.

Kiedyśmy po raz pierwszy poznali Julię, myśli jej i uczucia rodziły się, rosły i szły takim torem, jaki wskazywała ich eteryczna natura, jej głowa do marzycielstwa skłonna i przykłady po romansowych napotykanie książkach i powieściach. Daleki od niej wtenczas był świat rzeczywisty, daleka wszelka myśl trzeźwa i powszednia ale zawsze w tém życiu ziemskim niezbędna, dalekie wszelkie pragnienie tego, co ludzie zwykli nazywać pomyślnością i szczęściem tego żywota. Atoli już i wtenczas z coraz liczniej przybywającemi latami, z coraz bardziej oczyszczającym się wzrokiem i trzeźwiejącym rozumem, chociaż bardzo nieznacznie i niepostrzeżenie, zaczęły pomału błędnąć promienie owego światła, które wiosenną ogrzewały fantazją, zaczęły więdnąć owe pierwszj zieloności listeczki, zaczęły rzednąć owe mgły przedświtowe, które łażewami igrając barwami, nie dozwalały jej dokładnie rozróżniać barw po za niemi przesuwających się przedmiotów: a owa chatka wymarzona nad maleńką sadzawką, w której serce jej zapragnęło przeżyć czas jakiś z wymarzoną kochanką, chociażby szczęście to swoją własną ruiną lub śmiercią zapłacić, była już pewnym stanowczym zwrotem myśli Julii do rzeczywistych przedmiotów.

Miłość dla Bobowskiego, poczęta pod wpływem dawno już przyswojonych sobie a wcale nie ziemskich wyobrażeń, wprawdzie nie wiele przyczyniła się do tego, ażeby ją na tor zdrowego myślenia i rzeczywistego uczucia sprowadzić—ale już jego obietnice, niegdy przy oknie zamkowej komnaty otwarcie wypowiedziane, nasunęły jej wiele myśli takich, których dotąd nieznała. Niedotrzymanie zaś tych obietnic i zapomnienie o niej po powrocie z ukraińskiej wyprawy, do tego stopnia ją otrzeźwiło, że utraciwszy dopiero dobro to, które ulubionem było jej serca pieścildem, poczęła go bliżej oglądać i nad niem się zastanawiać. Więc po powrocie Bobowskiego dopiero dostrzegła Julię, że obrawszy pana Józefa za przedmiot swojego marzenia, obrała go zarazem i za przed-

miot swojej miłości a zastanawiając się dalej nad tém, przyszła do tego przekonania, że snom o nim i miłości dla niego nicby było nieprzeszkodziło to, gdyby nakoniec z myślami swojemi i sercem i samą siebie jemu na własność oddała. I owszem, zauważała to, że tak nawet byłoby lepiej i bezpieczniej dla jej marzeń i uczuć, i że tak samo zapewne musiał myśleć pan Józef, kiedy czynił jej obietnice. I poczęła przywiązywać wagę do tych obietnic i nakoniec cenić je sobie drogo, ale na nieszczęście aż wtenczas, kiedy już o nich należało zapomnieć. Wszakże przez nietrzeźwość rozumu i stąd ustawiczne złudzenia nie wiedziała nic o tém Julii, i pomimo to, że Bobowski dawno już powróciwszy do siebie, ani razu jeszcze nie był w Zahoczewiu, marzyła ona coraz więcej o nim, coraz jawniej przywoływała przed pamięć swoją nieszczęsne te obietnice i coraz bujniejsze, coraz jawniejsze rzeczywistości a coraz mniejszego prawdopodobieństwa wytwarzała sobie nadzieje. I zapomniła ona całkiem o tém w swoim dziecinnym umyśle, że gdyby Bobowski był jeszcze pamiętał o nich i ważył sobie te obietnice, to byłby już dawno był w Zahoczewiu i dawno do ich spełnienia przystąpił. I zdawało jej się, że do spełnienia tych nadziei niczego więcej nie potrzeba, jak tylko żeby ją pan Józef obaczył, że obaczywszy ją padnie jej do nóg, poda kwiaty i pierścionki, dzień wyznaczy, w którym do Zahoczewia przyjedzie i zabierze ją z sobą, aby z nią żyć i umierać.

Śród tego czasu zdarzyły się one imieniny w Beresce. Julię jechała na nie, jak gdyby na swoje wesele. I widziała tam Bobowskiego i mówiła z nim kilka razy,—ale śród każdej rozmowy krew zastęgała w jej żyłach. A kiedy powróciła do domu, taki ciężki smutek opanował jej serce i takie jakieś czarne poczucie ją drepczyć przeczucia, żeż za kilka dni wynędziała tak, jak gdyby z ciężkiej dopiero co powstała choroby. Było to jednak przesilenie się jej wszystkich uczuć i wszystkich nadziei. Z każdym dniem wprawdzie widziała ona coraz jaśniej, ile szczęścia stało dla niej otworem, gdyby jej wolno go było osiągnąć; z każdym dniem coraz więcej przypominała sobie swe uczucia dla pana Józefa, o których sama nie wiedziała, i żal jej było, i tęsknota ją porывała, i boleść ją pruća; ale też z każdym dniem coraz czystsiej szem okiem poczęła oglądać na świat ten i ludzi, z każdym dniem coraz prawdziwiej pojmowała to życie i z każdym dniem większa obojętność i pewniejsza rezygnacja zajmowała jej umysł i serce. A lubo na jej twarzy coraz wybitniejsze dawnych cierpień osiadały ślady i zdawało się tak, jak gdyby każde z nich zaumięrajac w duszy, na twarzy sobie wystawiało nagrobek, toż jednak serce jej chłodziło coraz widoczniej, rozsadek rozpoczynał swe panowanie, a w kilka miesięcy potem już ją można było podsłuchać, jak sama nieraz powtarzała do siebie:—Rok jeszcze lub dwa, a potem czepiec zarzuce na głowę, oddam się pracy codziennej, ot! i tak się przeżyje to życie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Piękna posiadłość miejska, Pałacyk z Ogrodem, BAGATELĄ zwana, w Warszawie, w końcu Alei położona, Nr. 1,761 a, rozległości łokci □ 48,896 wynosząca, obejmująca Stajnię, Wozownie, mieszkanie dla Stangreta, Ofiynę kuchenną, Lodownię, i inne dogodności, z powodu działów familijnych, WYSTAWIONA JEST NA SPRZEDAŻ PUBLICZNĄ. Termin ostatecznego przysądzenia, odbędzie się d. 6/18 listopada r. b. o godzinie 4 po południu, w miejscu posiedzeń Try. Cyw. w Warszawie przed W. Sędzią delegowanym Miszklem. Vadium wynosi rs. 2,250. Licytacja zaczyna się od sumy zł. 100,279 gr. 26 v. rs. 15,041 k. 98. Blizsze warunki przejrzeć można u W. Pisarza Tryb: Janickiego i w Kancel. Mecenasa Majewskiego w Warszawie, przy ulicy Elektoalnej Nr. 797.

*Rada Szczęgółowa Opiekunicza
Szpitala Dzieciątka Jezus.*

Ogłasza niniejszém, że na dostawę artykułów żywności dla Szpitala Dzieciątka Jezus w ciągu pierwszego półrocza 1854 r. potrzebnych, a mianowicie:

Grochu korcy 65, czyli czwarti 39, cztetwer. 5.
Maki pszennej i żytniej korcy 755, czyli cztetw. 460, cztetw. 3.

Krup korcy 564, czyli cztetw. 345, cztetw. 5.
Okrasy funtów 11,890, czyli pudów 295, funtów 13.

Żyta korcy 270, czyli cztetwerti 164, garcy 5.
Piwa beczek 540.

Odbędzie się licytacja w dniu 9 (21) listopada 1853 r. przed Radą Szczęgółową Szpitala Dzieciątka Jezus o godzinie 5 z południa, a to przez deklaracje opieczetowane, a potem głośną. Vadium którego wysokość do każdego oddziału żywności w warunkach licytacyjnych jest oznaczona na ręce Intendenta Szpitala w gotowiznie lub papierach publicznych złożone bydź winno do godziny 5 wieczorem, w dniu na licytację oznaczonym.—Blizsze warunki dostawy przejrzeć można każdodziennie w kancelaryi Szpitala.

Warszawa d. 26 paździer. (7 listopada) 1853 r.

Opiekun Przydujący

Rzeczywisty Radea Stanu, *Niepokojozycki.*

Ludwik Aumann, wyrabiający i wstawiający sztuczne zęby, mieszka przy ulicy Długiej pod nr. 586 lit. B.

Wzywam posiadacza zagubionego świadectwa, które przez Dyrekcję Główną pod dniem 18 (30) października 1843 r. do Nru 10,307 na zatrzymany kupon lit. B. Nr. 282,506 z 1go półrocza 1843 r. na imię Młodeckiego udzielone było, ażeby takowe w ciągu dni 30tu w Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego złożył, pod zagrożeniem wypłaty mimo niezłożonego świadectwa.

Klemens Górski.

Zwiadamiam, iż rozpocząłem udzielać LERCYJE TAŃCÓW, tak w mieszkaniu własnem pod nr. 69 przy ulicy Rynek Starego Miasta, pierwszy dom od Jezuickiej na 2em piętrze od frontu, jako też po pensjach i domach prywatnych.

Leopold Majewski.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 90.

Telegrafy Elektryczne Morsego i Siemens, są do oglądania przy ulicy Długiej Nr. 586, w dziedzińcu, od godziny 10ej rano do 5ej po południu, gdzie P. Aumann objaśni działanie tych narzędzi.